

Dzieciństwo

Urodziłem się 16 stycznia 1935 r. w zaścianku Oddzielno, na północno-wschodnich terenach II RP, w niewielkiej odległości od Dyneburga, jako syn Bronisława i Józefy ze Stranczewskich – tak przynajmniej jest zapisane we wszystkich dokumentach. Naprawdę przyszedłem na świat miesiąc wcześniej. Ponieważ co kilka lat miejsce mojego zamieszkania podlegało innym władzom (i w ten sposób, wcale nie zmieniając miejsca pobytu, co chwilę zamieszkiwałem w innym kraju – w Polsce, w Niemczech, w Rosji), rodzice, korzystając z zamieszkania, pomyśleli o odroczeniu mojego poboru do wojska poprzez zgłoszenie późniejszej daty urodzenia.

Ziemię w naszym zaścianku wynajmował warendę Mojsie Peško, Był to izraelita należący do grupy religijnej Lubawicza, posiadający żonę i liczną gromadkę dzieci. W kapeluszu, z pejsami, ubrany w chałat do ziemi, utkwiał w mojej pamięci ze względu na niecodzienny wygląd. Objął on uprawę gruntów po staro-wiercu, z którym ojciec zerwał umowę z powodu oszustw i szachrajstw i który z zemsty w czasie mroźnej zimy podpałił nasz dom. W środku nocy matka przez wybitą szybę wyrzuciła mnie, zaspanego, w zaspę śniegu, dzięki czemu nie spłonąłem wewnątrz drewnianego budynku ogarniętego płomienną zawieruchą.

Zamiar odbudowy spalonego domu uwidaczniał się na każdym kroku. Setki belek i innych budowlanych materiałów zalegały plac przeznaczony na wzniesienie nowej siedziby. Mieliśmy się przeprowadzić do niej z ciasnej łaźni, gdzie mieszkaliśmy tymczasowo. Jednak plany te nigdy się nie spełniły.

Jesienią 1939 r. Niemcy z zachodu, a Sowieci ze wschodu zaatakowali Polskę. Ojcu wziętemu do niewoli przez Czerwoną Armię udało się zbiec i ukradkiem wrócić do domu. Przesłuchania, rewizje, niekończące się protokoły w NKWD momentalnie zmieniły życie miejscowej ludności. Ostatnia beczka śledzi kupiona w Szar-

kowszczyźnie u handlarza zawierała nadpsuty, niezdatny do konsumpcji towar. Rodzice dawali je psu. Ten łapczywie połykał po kilka sztuk ryb naraz z ogonami, głowami i łuską, żeby potem chleptać wodę z dużej miednicy. Biedne psisko maczało pysk w wodzie i potem chwilowo oddaliwszy się od źródła, kładło się na brzuchu i czekało na miskę. Sól paliła go we wnętrzu i domagała się wody, wody i wody – bez końca.

Rosjanie przygotowali listy osób mających wypełnić wagony z przeznaczeniem – Syberia, do obozów wrogów ludu – burżujów, kułaków, krwiopijców i wyzyskiwaczy. Plany ich jednak chwilowo nie spełniły się. Hitler zaatakował czerwonego molocha. Sowietkie oddziały poddawały się bez jednego wystrzału, składały broń i z uniesionymi ramionami lądowały w niewoli. Wielu z nich sądziło, że naród niemiecki jest narodem cywilizowanym i nie wyrządzi im krzywdy. Przeciwnie, spodziewali się, że wermacht wyzwoli ich z jarzma komunizmu. Większość spośród nich miała dość raju na ziemi zarządzanego przez Stalina i jego klikę. Jednakże sporo sowieckich żołnierzy nie wierzyło wybawicielom i owinąwszy broń i amunicję w płaszcze zakopało ją w lasach – na wszelki wypadek. Rozpierzchli się po okolicach, prosząc gospodarzy o wymianę wojskowych mundurów na odzież cywilną. Również godzili się na pracę za codzienne wyżywienie i miejsce do spania. Ojciec, współczując biedakom, zezwolił tylu „pracownikom” zatrudnić się u siebie, że Niemcy nie mogli się nadziwić, po co mu taka ilość miejscowych parobków. Ci, którzy poszli do niewoli, w szczerym polu zostali otoczeni kolczastym drutem, gdzie ich pozostawiono pod nadzorem SS. Bardzo rzadko dawano im żywność, w związku z czym umierającym rozdzielano klatki piersiowe, wrywając z nich płuca, serca, wątroby. Wyglodniali współtowarzysze zjadali je błyskawicznie. Również wydzierano policzki i pośladki, a u kobiet piersi i tym mięsem zaspokajano głód. Zmarłych grzebano we wspólnych masowych grobach wykopywanych przez współwięźniów.

Zabrano się też za Żydów. W Szarkowszczyźnie i okolicach była ich spora ilość. Zebrano więc ich w jedno miejsce, otoczono domy kolczastym drutem, a każda osoba żydowskiego pochodzenia musiała nosić naszytą na ramieniu i na piersi gwiazdę Dawida. Co

rano większość mieszkańców getta musiała uczestniczyć w rytuale mycia Lenina. Był to obalony posąg wodza Październikowej Rewolucji, wystawiony w centrum miasta po zajęciu go przez bolszewików. Śpiewając międzynarodówkę, rzesza żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci ciągnęła obwiązanego grubymi linami towarzysza Włodzimierza do rzeki Dżisienki, gdzie go szorowano, oblewano wodą i z powrotem przy wtórze tejże pieśni wleczono do centrum miasta. Pieczę nad obozem sprawował oddział Holendrów. Z polecenia SS ściągali oni haracz ze zgromadzonych za koleczastymi drutami żydowskich rodzin. Złoto, szlachetne kamienie, futra systematycznie zabierano od nich na pomoc dla wermachtu. Co tydzień pobierany haracz i codzienne mycie Lenina w nurtach rzeki sprawiły, że mieszkańcy obozu zbuntowali się. Wtedy dowództwo Holendrów przed zachodem słońca otworzyło szeroko wrota i z ukłonem w kierunku tłumu oświadczyło:

– Nie podoba się, to won! Wynocha stąd!

Tłum lawiną rzucił się w kierunku siniejącego w pobliżu lasu. Mojsie Peśko zjawił się przed naszym domostwem jak widmo z rozwianymi połami chałatu i wykrzykiwanymi błaganiami:

– Panie Rundżjo, proszę, ukryj moich dwóch synów i przechowaj ich do czasu, kiedy wrócimy po nich. Powiedz SS, że to są twoje dzieci. Oni opadli z sił i nie są w stanie dalej biec.

Ojciec na to obejrzał się z trwogą i odparł:

– Mojsie, moi dwaj chłopcy są jasnymi blondynami, ja i moja żona również. Cała rodzina jest niebieskooka. Kiedy o świcie zjawi się gestapo, bez pytania zastrzelą nas i twoje dzieci. Jedyne, co mogę zasugerować, niech się ukryją na strychu znajdującej się nieopodal bani.

Peśko szybko zastosował się do sugestii ojca i po drabinie wprowadził na poddasze łaźni swoich dwóch najmłodszych potomków.

O szarym świetle kolbami karabinów zastukało do naszych drzwi SS. Do domu natychmiast wskoczyły alzackie owczarki i zaczęły wywracać wszystko do góry nogami. Część oddziału otoczyła zabudowania gospodarcze i także stojącą w pewnej odległości łaźnię. Ze strychu ściągnięto szlochających ze strachu synów Mojsie Peški.

– Ukrywasz żydowski pomiot, ty polska świnio! Każdy brać łopatę i kopać dla siebie groby!

Odprowadzono nas jakieś trzysta metrów od zabudowań i zaczęliśmy pracować nad mogiłami dla siebie. Ojciec i matka ciągle starali się po białorusku tłumaczyć dowódcy, że na strych dwaj chłopcy zostali wprowadzeni w nocy po cichu bez naszej wiedzy, za co nie powinniśmy ponosić odpowiedzialności. Kiedy życzenia gestapowców zostały prawie spełnione, starsze dziecko Peško rzuciło się na kolana i ze łzami zaczęło całować cholewy dowódcy oddziału SS, błagając z płaczem, żeby zastrzelił jego, ale zostawił przy życiu młodszego brata. Wtedy SS-man wyciągnął z kabury pistolet i wskazując lewą ręką w kierunku lasu, wykrzyknął:

– Popatrz, tam twój ojciec idzie po ciebie, biegnij do niego!

Kiedy ten pędem ruszył we wskazanym kierunku, Niemiec wypalił kilka razy w tył czaszki uciekającego, który potknął się i po wydaniu ostatnich rżęzących jęków padł obłany krwią na zaorane przez swego ojca pole. Po kilku śmiertelnych drgawkach skonał. Młodszy potomek arendarza natychmiast po wystrzałach zaczął biec w przeciwnym kierunku, ale kule pistoletu dosięgły i jego. Fiknął najpierw kozła, zwinął się i wyprostował, i tak na naszych oczach skonał.

– Zakopać! – wykrzyknął hitlerowiec.

Rozkaz z przerażeniem w głosie wybełkotał po białorusku tłumacz. Po jego wykonaniu kazano nam odmaszerować do domu

Krążące nad lasami samoloty zrzucały tysiące ulotek w językach: jidysz, białoruskim, polskim, rosyjskim i niemieckim, nawołujących do powrotu na teren getta. W ten sposób większość zbiegów dała się zwabić z powrotem za druty w Szarkowszczyźnie. Rozstrzeliwano ich potem masowo i grzebano w rowach wrytych nad brzegami rzeki Dzisienki. W czasie wiosennych roztopów rzeka rozmywała masowe mogiły. I roznosiła zwłoki po okolicy.

Życie nasze toczyło się dalej. Co nocy nieraz dwa i trzy razy odwiedzali nas osobnicy domagający się oddania im zboża, chleba, mięsa, pieniędzy, odzieży. Zabierali wszystko, na co padło ich oko, i grozili rozstrzelaniem za niespełnienie żądań. Pewnego ranka wpadł do nas sąsiad Wołočko z graniczącego z nami zaścianka

Zacisze. Zamordowano mu syna, kiedy nie był im w stanie zapłacić okupu w złocie. Okrwawiony, ze szlochem i krzykiem wpadł do nas. Rodzice moi byli bezradni jak i on i nic nie mogli mu pomóc, nie mogli złagodzić bólu spowodowanego morderstwem jego pierworodnego dziecka. Rosyjscy żołnierze udający pracowników ojca pewnego wieczoru gromadnie pojawili się w naszej izbie, pokłonili rodzicom w pas, serdecznie podziękowali za czas spędzony u nas w zaścianku i oświadczyli, że idą do lasu. Niemcy traktowali ich pobratymców gorzej niż bydło. Nie było na to widoków, żeby stosunek ich się zmienił. W związku z tym Rosjanie wydobyli zakopaną w lesie broń, amunicję, granaty i postanowili rozpocząć walkę na śmierć i życie. Będą bić się do ostatniej kuli, a tą ostatnią, jaka im zostanie, wpakują sobie w łeb. I rzeczywiście, w okolicznych lasach powstała tak silna partyzantka, że ani doborowe oddziały wojsk niemieckich, ani lotnictwo, ani wyrąbywanie lasu na kilometr z obu stron gościńców i dróg kolejowych nie pomagało. Wylatywały w powietrze niemieckie samochody, opancerzone ciężarówki i czołgi. Doborowe oddziały SS paliły wioski, osady, osiedla mieszczące się w pobliżu szlaków prowadzących na wschód. Rozstrzeliwali ich mieszkańców, wrzucali nadziane na bagnety dzieci w płomienie palonych zabudowań. Płonęły torfowiska, niezliczone hektary mokradeł nienależących do nikogo paliły się, napełniając mdłym zapachem dymu lasy, łąki, pola, domostwa i zabudowania gospodarcze. W dzień słońce wyglądało jak czerwona główńia wetknięta w chmury.

Walka z niemieckim zaborcą dochodziła do najwyższego stopnia wrzenia. Po jednej z pacyfikacji wioski pojmano niemieckiego kapitana, który zgwałcił kilka jej mieszkanek, a potem je zastrzelił. W nocy przywiązano go do słupa w płocie ogradzającym pastwisko z pasącymi się tam młodymi cielętami. Odstawione od cycka matki poszukiwały nieustannie pokarmu. Zakneblowanemu Niemcowi spuszczone spodnie. Cielęta zauważyły zwisający organ płciowy gestapowca, rzuciły się do jego ssania. Jednak, ponieważ nie czuły spływającego zeń mleka, usuwały się na stronę. Zastępowały je inne, tłoczące się przy czymś, co im przypominało mat-

czyne wymię. Rano mieszkańcy znaleźli na pastwisku trupa z granatowym podbrzuszem i z naderwanymi narządami płciowymi.

Inną historią, która mną wstrząsnęła, była opowieść o matce dziewczyny zgwałconej, bitej, a potem rozstrzelanej przez hitlerowskich żołdaków. Odkopała ona w nocy zwłoki córki, odcięła jej gruby, jasny warkocz i włożyła sobie go za pazuchę. Potem gdzieś zdobyła kałasznikowa i w mrokach nocy odwiedzała kwatery niemieckiego dowództwa. Pukała zazwyczaj do drzwi i obrzuciwszy wzrokiem ich lokatorów, szybko rozpiniała płaszcz, wyciągała warkocz martwej córki, pokazywała go Niemcom, a potem puszczała serię za serią po starszyźnie. Zginęła trafiona kulą wystrzeloną z rewolweru stojącego obok pod ścianą żołnierza.

Stada rozbestwionych wilków podchodziły pod okna, siadały na tylnych łapach i wyły. Wszystkie psy zostały przez nie uduszone i pożarte. Nikt na te dzikie stworzenia nie polował. Żywiły się zwłokami żołnierzy leżącymi na polach, ścieżkach, rowach i w krzakach. Mówiono, że coraz więcej tych zwierząt zwanych syberyjskimi wilkami, odróżniającymi się od miejscowych stojącymi grzywami, pojawia się w okolicach.

Ludność stała się samowystarczalna pod każdym względem. Nie było zapalek, bo nie było w ogóle żadnych sklepów, wypalało się więc w zarkewiu hubę. Krzeszło się na nią stalowym kawałkiem sierpa iskrę z kawałka krzemienia, iskra zaczynała się żarzyć i wtedy rozdmuchiowano ją, powodując zwiększenie żarzenia. Kładziono wówczas hubę na mech lub przypalano skręconego z domowego tytoniu papierosa. Żar w piecach zachowywało się przez całą noc, żeby z rana rozpalić wewnątrz ognisko do przygotowywania strawy. Jeśli płomień wygasł, szło się do sąsiada pożyczyć żarzących się węgli. Podstawowe produkty żywnościowe stanowiły: kiszona kapusta, ziemniaki, ogórki, solone grzyby, żurawiny, borówki. Las służył jako zaplecze, w którym znajdowało się wiele środków niezbędnych dla przetrwania. Obuwie w postaci łapci, tj. pantofli pleciono z kory lipowej. Nakładało się je albo bezpośrednio na nogi owinięte w onuce, tj. kawałki tkaniny chroniące przed chłodem, albo na wojłok – but z owczej wełny, często suto przesypywanej mialkim piaskiem w trakcie jego produkcji. Zimą

zakładało się kozuch z baraniej skóry, a na wierzch burkę – obszerny płaszcz z kapturem. Latem chodziło się w zgrzebnych koszulach i portkach. Ze względu na to, że barwników nie można było nabyć, używano łupin cebuli, otrębów siana, zielonych młodych liści brzozy czy kory olchy jako środków do wyrabiania podstawowych farb. Na ogół jednak wszystko było w odcieniach bieli, gdyż po paru praniach kolory wzięte z natury spierały się. Mieszkania oświetlano łuczywem – trzaskami drewna odłupanego z suchych sosnowych polan. Cukier uzyskiwano przez długie gotowanie cukrowych buraków, w wyniku czego powstawała słodka melasa. Oczywiście miód był w cenie jako osłoda i jako środek leczniczy. Osobiście bardzo mi smakowała zapiekanka z grzybów, ziemniaków i śmietany długo dojrzewająca w piecu, w metalowym garnku. Pamiętam, raz niechcący wysypałem część, suszącego się w płytkiej brytfannie umieszczonej na wierzchu garnka, tytoniu do środka zapiekanki. Przyprawa ta nie przypadła rodzinie do gustu. Dociekając powodu gorzkiego smaku w końcu stwierdzono, że musiała to być nieznana odmiana grzyba, jakiej nikt dotychczas nie próbował.

Lato zazwyczaj upływało na wyprawach do lasu, skąd przynoszono kosze grzybów i jagód. Suszyło się je, marynowało i wstawiało do znajdującego się w pobliżu domu schowka, zbudowanego z opierających się o siebie dragów. Na nie nakładano wiklinę lub słomę i przykrywano je grubą warstwą ziemi. W ten sposób trzymane w nich zapasy nie zamarzały i nie psuły się. Połcie słoniny wieszano na strychu, gdzie natarte czosnkiem i solą dojrzewały w czasie mroźniej zimy. Zaopatrywano się też w niezliczone ilości traw i roślin służących jako lekarstwa na różne dolegliwości. Pamiętam, że były tam waleriana, rumianek, piołun i kwiat lipy. Niektórzy profilaktycznie wypijali codziennie kieliszek nafty. Żona jednego z sąsiadów codziennie wychylała małą dawkę tego napoju, na co jej małżonek powiedział:

– Życzyłbym sobie, żeby ona jeszcze zagryzała smarem do kół.

Zgodnie z wiekową tradycją każdy posiadacz chaty musiał mieć osobny budynek zwany „banią”. Ze względu na częste pożary tych struktur wznoszono je z dala od domostw i zabudowań gospo-

darczych. Materiałami budowlanymi były ociosane sosnowe belki. Unikano stosowania metalowych gwoździ, gdyż przy wysokich temperaturach w czasie użytkowania sauny zetknięcie się nagiej skóry z powierzchnią gorącej główki gwoźdźcia w drewnianych ławach nie stanowiło przyjemności. Delikwent na skutek kontaktu nagiego pośladka z rozgrzaną powierzchnią metalu zazwyczaj odbywał dziki indiański taniec z okrzykami bólu. Stosowano więc drewniane wiązania do wykonywania szerokich ław i półek, na których parzyli się i chłostali brzożowymi miotłami jej użytkownicy. Saunę Słowianie wschodni przyjęli najprawdopodobniej od Finów. Stanowiła doskonały sposób na różne dolegliwości powodowane przez niskie temperatury, wilgoć i odmrożenia. Na środku sauny znajdował się wielki piec ze sporych kamieni o dużej ilości krzemienia. Obok zazwyczaj stały dwie beczki z wodą. Do jednej z nich przed rozpoczęciem procesu „parzenia się” wrzucano parę rozgrzanych do białości kamieni. Para, która natychmiast nappełniała całe pomieszczenie, podnosiła temperaturę powietrza do niebywałych wysokości. Wewnątrz beczki z gorącą wodą tkwiły naręcza brzożowych witek, ściętych i związanych w miotły w czasie lata i przechowywanych później na strychu. Wrzątek w beczce zmiękczał liście do wiotkich, aromatycznych płatków. Uczestnicy cotygodniowych kąpieli chłostali zawzięcie każdą część swego ciała powodując otwieranie się porów. Po dłuższych zabiegach i polewaniu wodą wskakiwało się do przerębli w znajdującym się w pobliżu stawie lub rzece. Parę metrów biegu po śniegu i nurkowanie w lodowatej wodzie hartowało organizm. Zabawnie wygląda taki nagus oblepiony tu i ówdzie brzożowym liściem. W języku rosyjskim istnieje popularne powiedzenie: „Przykleiłeś się jak liść z łaźni do tyłka”. Do dziś żałuję, że nie mam możliwości korzystania z kresowej łaźni.

Zima w czasie okupacji niemieckiej i po powrocie Sowietów srożyła się do tego stopnia, że takich mrozów nie pamiętali najstarsi mieszkańcy tych okolic. Woda w stawach i w jeziorkach zamieniała się w jednolitą bryłę lodu sięgającą do dna. Ryby, żaby wmarznęte w przezroczyste bryły wyrąbywano siekierami i w kryształowo czystych kawałkach przynoszono je do domu. Nocą na skutek silnego

mrozu pnie drzew w okolicznych lasach pękały od dołu do góry z armatnim hukiem. Odgłosy te dla wielu kojarzyły się z wystrzałami artyleryjskimi. Śnieg często zasypywał chaty powyżej dachu i żeby wydostać się na zewnątrz, trzeba było kopać tunele prowadzące na zamrożoną powierzchnię śnieżną kryjącą domostwa. Woda w strumieniach i rzekach ścinała się w szklaną przezroczystą powierzchnię razem z drobnymi falami powodowanymi lekkim podmuchem wiatru. Każdej nocy znajdowało się zmarznięte ptaki: wrony, sroki, sójki, spadłe z gałęzi drzew na twardą skorupę śniegu.

Utkwiła mi w pamięci historia, którą opowiadano wtedy po cichu. Otóż w syberyjskiej tajdze siedzi na gałęzi sosny wrona z dużym kawałkiem sera w dziobie. Wyglodniały lis błakający się wśród drzew w poszukiwaniu jakiejś zdobyczy nadającej się na przekąskę podbiega pod gałąź z wroną i merdając ogonem, słodkim tonem odzywa się do ptaszyska:

– Droga wroncio, spraw nam przyjemność, zaśpiewaj coś swoim wspaniałym głosem.

Kręcąc głową, wrona w przeczącym geście nie daje się namówić lisowi na solowy występ.

– Wiesz co – zwraca się chytre rude zwierzę do wrony – sroka złodziejka została pierwszym sekretarzem partii wszystkich zwierząt w puszczy.

– Ha, ha, ha, ha – wybucha skrzekliwym chichotem wrona.

Wypada jej w tym czasie z dzioba ser, który lis łapie w powietrzu, połyka go i wykrzykuje:

– Kto się z partii śmieje, ten w Syberii z głodu zdycha.

Pędząc po zamrożonej rzece na domowej roboty łyżwach do białoruskiej szkoły widziałem często, jak na powierzchniach stwardniałych od mrozu zasp leżał nieruchomo, z odrzuconym ogonem, lis. Wokół niego gromadziło się zazwyczaj stadko wron. Sprawdzały, czy rudy chytrus jest martwy i czy można zacząć jego konsumpcję od wydziobywania mu oczu. Kiedy jednak któryś z ptaków znalazł się zbyt blisko pyska zwierzęcia, stawał się rychło łupem zgłodniałego chytrusa. Błyskawiczne kłapięcie rudej paszczy kończyło zazwyczaj żywot pierzastego amatora lisiego padła.

Kiedy Czerwona Armia wyparła Niemców z terenów Szarkowszczyzny i okolic, natychmiast zarządzono mobilizację męskiej ludności w szeregi sowieckich wojsk. Nasi najbliżsi kuzynowie – Kazimierz, Józef, Stanisław i Bernard Tatarczuk, wraz z innymi młodymi ludźmi uzbroiwszy się w broń pozostawioną przez Niemców i bolszewików, trzymaną w znanych sobie schowkach, poszli do lasu. Ich matka, siostra mojego rodzica, zmarła wiele lat wcześniej. Nad liczną grupą osieroconych młodzieńców czuwali stryjowie – Bronisław Tatarczuk i Władysław Rundźjo. Kuzynowie ukrywali się w okolicznych borach i często pojawiali się u nas na posiłki, po nowe zapasy żywności, jak również w celu otrzymania informacji dotyczących postępu walk z faszystowskimi najeźdźcami. Ich najmłodszy brat – Bernard Tatarczuk – został w tym czasie komendantem NKWD i pilnował, żeby jego braciom nie stała się krzywda. Obowiązani oni byli stawić się w szeregi Armii Czerwonej, ale oczekiwali, że dołączą się do oddziałów polskich. W czasie jednego z obiadów u cioci Anny Rundźjo, bratowej ojca, zamieszkałej obok nas, jej syn Bolesław podniósł postawiony w kącie nabity karabin i wymierzył w matkę. Na szczęście, dziewięcioletni brzdąc nie był w stanie unieść broni palnej na wysokość głowy rodzicielki i wypalił w jej nogi. Po naciśnięciu spustu kula musnęła jej łydkę i utknęła w drewnianej podłodze. Skończyło się na powszechnym popłochu i porządnym laniu, które mojemu stryjecznemu bratu sprawili rodzice. Chłopak jakoś nie miał szczęścia, bo kiedyś gdy Tatarczukowie przybyli do nas bryczką, Bolek usiłował złapać za uzdę jednego z rumaków, a ten go ugryzł w gładko wygoloną głowę. Długo, długo goiła się rana i ślady jej pozostały w jego czuprynie na zawsze.

Jako chłopiec często byłem wysyłany na ustawianie znaków na starym stogu siana przy lesie. Miały informować ukrywających się kuzynów, czy mogą bezpiecznie przyjść do zaścianka na ciepły posiłek, zmianę bielizny lub kąpiel. Jeśli zachodziło niebezpieczeństwo, że NKWD może złożyć niespodziewaną wizytę w poszukiwaniu przeciwników bolszewickiego reżimu, opierałem o stóg grabie. Znaczyło to, że pod żadnym pozorem nie wolno pojawiać się ani

u nas, ani u stryja. Grabie na ziemi oznaczały, że można przychodzić.

Zachowanie wyrostka biegającego po polach nie budziło podejrzeń osób sprawujących z polecenia sowieckich władz nadzór nad mieszkańcami. Bernardowi Tatarczukowi życzliwy komendant powiatowego KGB radził, aby opuścił po cichu miejsce zamieszkania i udał się do centralnej Polski. Za skromną opłatą paru rubłówek obiecał wydać mu glejt pozwalający na bezpieczną ucieczkę. Bernard jednak nie skorzystał z oferty. Kilka tygodni później oddział tajnych sił rosyjskich do walki z oporem miejscowej ludności dokonał obławy na partyzantów. W jej rezultacie zastrzelono Stanisława Tatarczuka, a Kazimierza i Józefa pojmano i odesłano na pierwszą linię frontu w batalionach karnych Czerwonej Armii. Na szczęście, gdzieś po drodze spotkali grupę polskich żołnierzy i przyłączyli się do nich cichaczem. Rodacy dostarczyli im polskich mundurów, rosyjskie rubaszki i furażerki spalili, a poszukującym ich bolszewickim oficerom oświadczyli, że nic nie wiedzą o żadnych zbiegach z szeregów radzieckich wyzwolicieli. Nasi dwaj krewni, po odbyciu kampanii Lenino – Berlin, nie wrócili na Białoruś. Niestety, ich rodzina przez wiele lat nie otrzymywała pozwolenia na wyjazd do Polski. Ojciec Bronisław został skazany na katorgę, Bernard otrzymał dożywocie i budował miasto Intę, a także pracował przy wydobywaniu węgla na północy ZSRR. Najmłodszych, Władysława i Jadwigę, wywieziono do sierocińca w okolicy Komsomolska nad Amurem. Zamieszkują oni obecnie na Białorusi i Ukrainie.

Mój ojciec po aresztowaniach Tatarczuków został zesłany do łagrów Posiołok Mołotowa w okolicach Archangielska. Zatrudniono go tam przy trzebieniu tajgi. Po odejściu oddziałów wojskowych Andersa na zachód powstała druga armia polska pod dowództwem Berlinga. Z nią pojawiła się nadzieja na powrót do rodziny. Jednakowoż Rosjanie usilnie starali się wcielić go w szeregi wojsk radzieckich. Protesty, że jest Polakiem, że z własnymi rodakami chciałby wyzwalać własny kraj z niemieckiej niewoli, nie dawały rezultatów. Pytano go wtedy:

– No dobrze: twierdzisz, żeś ty nie Rosjanin. A gdzie się urodziłeś, w Polsce czy w Rosji?

Pod karabinem maszynowym sadzano go w bagno i zmuszano do natychmiastowego podjęcia decyzji. Ojciec urodził się w 1909 roku pod zaborem rosyjskim. Odpowiadał więc na to pytaniem:

– A gdybym się urodził w stajni, to czy to by znaczyło, że jestem koniem?

W końcu udało się. Logika jego zwyciężyła. Przeszedł wojnę od Lenina do Berlina i szczęśliwie wrócił do swoich.

Tymczasem pozostała w zaścianku Oddzielno reszta rodziny – nasza mama, brat Janek i ja – przygotowywała się na zesłanie w okolice Komsomolska. Od ojca wywiezionego do łagrów w okolicy Archangielska nie mieliśmy żadnej wiadomości.

Nadchodziła jesień. Olbrzymie stada żurawi ze smętnym krzykiem przelatywały nad rżyskami i pożółkłymi wierchołkami brzoź, nieruchomo tkwiących wzdłuż strumieni dookoła mokradeł. Z torfowiska unosiły się opary i od czasu do czasu z gęstwiny jodłowego lasu w pobliżu tataraków na stawie przemykały się wilki. Spłoszone ich widokiem stadko dzikich kaczek z wrzaskiem i z łopotem skrzydeł odlatywało na inne rozlewisko. Pewnego popołudnia na okoliczne łąki i puste pola wokół zaścianka zaczęły lądować żurawie w drodze do ciepłych krajów. Były ich niezliczone ilości: setki, tysiące. Dźwięki przez nie wydawane brzmiały jak żalony śpiew po minionym lecie, po zwiędłych kwiatkach łąk, po zieleni drzew zmienionej w żółcie, brzozy i czerwienie. Mama nie chciała ich płoszyć. Wyglądała przez lekko uchylone drzwi i pozwalała nam ukradkiem obserwować stada ptaków, które przelotem zatrzymały się na okolicznych pastwiskach, pustych rżyskach i polaciach wrzosowisk. Żurawi sejm trwał dwie doby, zanim nas opuściły.

Mamę w tym czasie często wzywano do NKWD na przesłuchania. Rodzicielka opuszczając dom pozostawiała młodszego ode mnie Janka w osadzie u zaprzyjaźnionej Białorusinki Stiepanidy, a mnie, ubranemu w drelichową koszulkę i krótkie spodnie, kazała pozostawać na zewnątrz i pilnować domu. Klucz do potężnego, metalowego zamka miałem przytwierdzony na sznurku do dziurki od guzika i wpuszczony w spodnie. Zgodnie z jej poleceniem miałem

zakaz otwierania wierzejów prowadzących do naszego domostwa. Aż tu po paru godzinach jej nieobecności zjawiają się dwaj umundurowani sowieccy żołnierze. Kabury z pistoletami na pasach – pytają mnie:

- Gdzie rodzice?
- Nie ma ich w domu.
- Otwórz nam drzwi!
- Mama nie dała mi klucza – informuję drżącym głosem.
- Zastrzelimy cię, jeśli znajdziemy go.
- Przystawiają mi lufę do skroni.
- Nu dawaj! Bystro!

W oczach mi pociemniało, ale w nadziei, że nie znajdą tego, czego się domagają, z płaczem, krztusząc się i jękając, nadal obstaruję przy tym, że mama zabrała klucz ze sobą. Rewizja w kieszeniach nie przyniosła rezultatu. Po rozejrzeniu się po gospodarskich zabudowaniach znaleźli żelazny łom i wyrwali przy jego pomocy wykuty w metalu skobel. Wieczorem, po powrocie matka znalazła mnie splekanego do nieprzytomności i ukrytego w pobliskim stogu siana.

Przesłuchiwania matki trwały w nieskończoność. Co parę dni byliśmy pozostawiani z bratem w domu sami. Janek znosił sytuację nie najlepiej. Kiedy zaczynał zapadać zmierzch, wybuchał płaczem, twierdząc, że dom się wali.

Mieliśmy małego kotka o imieniu Mrul. Bawiliśmy się z nim do upadłego. Raz, założywszy od tyłu na połowę jego ciała grubą, wełnianą skarpetkę mamy, zaśmiewaliśmy się z jego ruchów. Wykonywał w niej najdziwniejsze łamańce i skoki, aż wreszcie udało mu się z niej wyzwolić. Pogoda w tym czasie stawiała się coraz bardziej nieprzyjemna. Padał deszcz ze śniegiem, błoto na drogach wlewało się do butów. Wieczorem zmęczona i wystraszona matka wróciła z NKWD do domu, zdjęła z nóg przemoczone drewniaki, ściągnęła mokrą skarpetkę i włożyła stopę do znajdującej się na podłodze suchej. Po chwili ze zgrozą i łzami zawołała:

- Boże, dlaczego mnie tak karzesz! Kot narobił do skarpetki.

Postępy wojny spowodowały, że zamiary wywiezienia nas trojga na Sybir zostały chwilowo zaniechane.

W miejscowości Koczany otworzono czteroklasową białoruską szkołę. Mieściła się w dwóch izbach i zajęcia prowadzono jednocześnie ze wszystkimi uczniami. Z torbą na plecach, zawierającą czerwony atrament z buraków ćwikłowych, w łapciach z przytroczonymi do nich własnej roboty łyżwami, po zamrożniętych rzekach wędrowaliśmy z bratem stryjecznym Bolesławem, by pobierać białoruską wiedzę. Z powodu braku papieru pisaliśmy między wierszami Talmudu, w księgach pozostawionych po wymordowanych przez Niemców Żydów, do niedawna stanowiących znaczną część mieszkańców tutejszej ludności. Pewnego razu, pod koniec zajęć w szkole zjawił się goniec z NKWD Przywiózł ze sobą odę dziękczynną do Stalina, napisaną przez białoruskiego wieszczę Jakuba Kołosa. Były tam słowa wdzięczności za szumiące lasy, za kwitnące łąki i za przejrzyste strumienie, jakimi nas obdarzył baćka Iosif Wisarionowicz Stalin. Oczywiście cała szkoła złożyła pod tym dziełem podpisy, z wyjątkiem Bolka i mnie. Na pytanie, czym tłumaczymy naszą odmowę, odpowiadaliśmy, że bez zgody naszych matek nie możemy niczego robić. Kiedy rozpuszczono uczniów do domu, nam kazano pozostać w klasie. Co jakiś czas przedstawiciel KGB zadawał pytanie:

– Podpiszecie?

Słyszac odpowiedź „Nie”, rozkazywał:

– Wskakiwać na ławkę, zeskakiwać i pod ławkę

I znów

– Wskakiwać na ławkę, zeskakiwać i pod ławkę

Ćwiczył nas tak do północy i pozwolił pójść do domu przez las pełen zgłodniałych wilków, po zaspach śniegu. Przerażeni i kompletnie wyczerpani wróciliśmy w objęcia zapłakanych matek, niepewnych, co się z nami stało.